

Yasunari Kawabata Piękno i smutek

CZY
TEL
NTK



Yasunari Kawabata

Piękno i smutek

Przełożyła

Katarzyna Sonnenberg-Musiał

CZYTELNIK

Tytuł oryginału
美しさと哀しみと
Utsukushisa to kanashimi to

Copyright © 1965, The Heirs of Yasunari Kawabata
All right reserved

Okladkę i kartę tytułową projektował
Kamil Rekosz

Redaktor prowadzący
Anna Rucińska

Redaktor
Agnieszka Fedorowicz

Korektor
Elwira Wyszynska

Redaktor techniczny
Bożena Ławnicka

JAPANFOUNDATION  国際交流基金

Publikacja dofinansowana przez The Japan Foundation

© Copyright for the Polish translation
by Katarzyna Sonnenberg-Musiał, 2024

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2024

ISBN 978-83-07-03578-9

Świątynne dzwony

W wagonie widokowym pociągu ekspresowego „Hato” linii Tōkaidō stało pod oknem pięć obrotowych foteli. Toshio Ōki zauważył, że jeden z nich, ten położony najdalej, obracał się wolno wraz z ruchem pociągu. Nie był w stanie oderwać od niego wzroku. Niskie fotele po jego stronie tkwiły nieruchomo.

Ōki był w wagonie sam. Siedział wciśnięty głęboko w siedzenie i obserwował umieszczony po drugiej stronie fotel, który poruszał się w różnych kierunkach z różną prędkością: przyspieszał, zwalniał, zatrzymywał się, czasem zaczynał się kręcić w przeciwną stronę. Widok tego jednego fotela kołyszącego się w opustoszałym wagonie sprawił, że Ōki poczuł skrywaną głęboko samotność i powędrował myślami ku odległym wspomnieniom.

Był dwudziesty dziewiąty grudnia. Jechał do Kioto, żeby posłuchać dzwonów, które zęgnąły stary rok. Od ilu już lat słuchał ich bicia w radiu? Kiedy zaczęły się transmisje? Od tamtej pory nie było chyba takiego roku, żeby pominął noworoczną audycję prezentującą uderzenia słynnych dzwonów w różnych świątyniach w Japonii wraz z uwagami spikerów. W czasie tych audycji, kiedy zęgnano stary rok i witano nowy,

komentarze często były utrzymane w kwiecistym stylu i pochwalnym tonie. Dzwony buddyjskich świątyń uderzały dostojnie, miarowo, a w ich brzmieniu kryło się nieuchwytne piękno dawnej Japonii, budzące refleksję o przemijaniu. Najpierw można było usłyszeć dzwony z północnych regionów, później z Kiusiu, a na koniec z Kioto, a że było tam wiele świątyń, czasami w audycji mieszało się ze sobą bicie różnych dzwonów na raz.

W czasie trwania audycji żona i córka Ōkiego nadal się krzątały, przygotowując w kuchni noworoczne potrawy, robiąc ostatnie porządki, szykując kimona lub układając kwiaty. Tymczasem on siedział w salonie i słuchał radia, a z każdym uderzeniem dzwonu wracał wspomnieniami do mijającego właśnie roku. Był wtedy głęboko poruszony. Czasem odczuwał bardzo gwałtowne wzruszenie, niekiedy nawet bolesne. Zdarzało się, że ogarniały go żal i smutek. Nawet jeśli odstręczał go emocjonalny przekaz czy ton prezentera, dźwięk dzwonów mocno zapadał mu w serce. Od dawna już pragnął wybrać się w wigilię Nowego Roku do Kioto i posłuchać ich bicia nie przez radio, ale na żywo.

Pod koniec tego roku Ōki nagle postanowił, że pojedzie do Kioto. Kierowało nim także zuchwale pragnienie, by zobaczyć po latach Otoko Ueno i razem z nią wsłuchać się w bicie świątynnych dzwonów. Odkąd Otoko przeprowadziła się do Kioto, Ōki nie miał od niej żadnej wiadomości. Wiedział jednak, że odniosła tam sukces jako malarka w tradycyjnym japońskim stylu i najpewniej wciąż nie wyszła za mąż.

Pomysł pojawił się nieoczekiwanie, a robienie rezerwacji nie było w stylu Ōkiego. Na stacji Jokohama

wsiadł więc bez biletu do wagonu widokowego ekspresu „Hato”. W ostatnich dniach roku pociąg na tej trasie mógł być zatłoczony. Ōki znalazł jednak starszego pana z obsługi i miał nadzieję, że ten znajdzie dla niego jakieś miejsce.

Ekspres „Hato” wyruszał z Tokio i Jokohamy po południu, a do Kioto docierał wieczorem. Z Osaki i Kioto także wyjeżdżał koło południa. Ōki wybierał zawsze to połączenie, bo zwykł ucinąć sobie drzemkę w pociągu i był już znany większości żeńskiej obsługi wagonów drugiej klasy (mowa tu o czasach, gdy istniała też klasa trzecia). Ku jego zaskoczeniu tym razem wagon świecił pustką. Może dlatego, że był dwudziesty dziewiąty grudnia. Pociągi są pewnie bardziej oblegane w dwóch ostatnich dniach roku.

Ōki siedział pogrążony w rozmyślaniach o życiu, obserwując poruszający się fotel obrotowy, gdy starszy mężczyzna z obsługi podszedł do niego z zieloną herbatą.

– Nikogo poza mną nie ma? – zapytał Ōki.

– Jest jeszcze pięcioro lub sześcioro pasażerów, proszę pana.

– A w Nowy Rok jest zazwyczaj tłoczno?

– Nie, proszę pana. Planuje pan wtedy wracać?

– Tak, muszę właśnie wtedy.

– W Nowy Rok nie będzie mnie w pracy, ale przekażę, żeby się panem dobrze zajęto.

– Będę wdzięczny.

Mężczyzna z obsługi odszedł. Ōki rozejrzał się i dostrzegł przy fotelach na końcu wagonu dwie białe skórzane walizki, kwadratowe i raczej lekkie, w nowoczesnym stylu. Taka biała skóra z jasnobrązowymi

plamkami była w Japonii czymś niespotykanym. Prezentowała się luksusowo. Na fotelu leżała duża torebka w lamparce cętki. Właściciele tego bagażu pochodzili pewnie z Ameryki i udali się do wagonu restauracyjnego.

Za oknem migwały drzewa otulone grubą, ciepłą mgłą. Gdzieś wysoko przez białe chmury przebijały mieniące się promienie, które zdawały się odbijać światło płynące z ziemi. Pociąg jechał, a niebo stopniowo się rozpogadzało. Słońce wpadające przez okno oświetlało teraz i podłogę wagonu. Pod sosnami porastającymi góry ścieliły się stare igły i widać było pożółkłe już liście bambusów. Połyskujące fale napierały na przyładek czarniejący w oddali.

Gdy pociąg minął Numazu, a za oknem pojawiła się góra Fuji, czworo Amerykanów – dwie pary w średnim wieku – zdążyło już wrócić z wagonu restauracyjnego, a teraz stanęło przy oknie i zaczęło z zapalem pstrykać zdjęcia. Po chwili turyści musieli najwyraźniej uznać to zajęcie za nużące, bo odwrócili się plecami do Fuji, zanim jeszcze ukazała się ona w pełnej krasie.

Zimowe dni są krótkie. Ōki przyglądał się płynącej leniwie srebrzystoszarej rzece, a kiedy podniósł głowę, jego wzrok zatrzymał się na zachodzącym słońcu. Ostatnie chłodne promienie długo jeszcze przezierały przez łukowatą szczelinę w ciemnych chmurach, zanim w końcu znikły. Stojące w oświetlonym wagonie fotele nagle, jak na komendę, wykonały półobrót. Tylko ten na końcu nie przestawał się kręcić.

Pociąg dotarł do Kioto i Ōki udał się do hotelu Miyako. Zarezerwował zaciszny pokój z myślą o tym, że Otoko może go odwiedzić. Wydawało mu się, że

winda wiezie go na piąte lub szóste piętro, ale budynek wznosił się na stromym zboczu w paśmie Higashiyamy i po przejściu długim korytarzem Ōki znalazł się na parterze. Panowała tu taka cisza, jak gdyby wszystkie pokoje znajdujące się w tej części budynku były puste. Jednak po godzinie dziesiątej z obu stron dało się słyszeć donośne głosy obcokrajowców. Ōki zapytał o nie boya hotelowego.

– Są tutaj dwie rodziny. Łącznie mają dwanaścioro dzieci – usłyszał w odpowiedzi.

Dzieci nie tylko krzyczały do siebie, lecz także biegały tam i z powrotem korytarzem między pokojami, robiąc przy tym niemilosierny rumor. Skoro hotel najwyraźniej nie był przepelniony, dlaczego umieszczono go akurat między tak hałaśliwymi gośćmi? Ōki powstrzymywał narastające w nim rozdrażnienie myśla, że dzieci powinny wcześniej zasnąć. Jednak pewnie w wyniku ekscytacji podróżą hałas za drzwiami nie ustawał. Ōkiemu przeszkadzał zwłaszcza tupot nóg na korytarzu. W końcu podniósł się z łóżka.

Głośnie rozmowy w obcym języku potęgowały jego uczucie samotności. Przypomnił sobie obraz fotela w wagonie widokowym pociągu, tego jednego, który obracał się wokół własnej osi. Ōkiemu wydawało się, że obserwuje swoje osamotnienie wirujące bezgłośnie w skrytości jego serca.

Przyjechał do Kioto, żeby usłyszeć bicie dzwonów w wigilię Nowego Roku i zobaczyć Otoko Ueno. Po raz kolejny zaczął rozważać, który powód był ważniejszy. Spotkania z Otoko nie mógł być pewien. Czy jednak pewność usłyszenia dzwonów nie stanowiła tylko wymówki, a on w głębi serca pragnął właśnie

tego, co niepewne? Tak, przyjechał, bo chciał posłuchać z Otoko, jak biją dzwony żegnające stary rok. Wydawało się to możliwe do spełnienia, ale dzieliła ich przepaść minionych lat. To, że Otoko z nikim chyba się nie związała, nie oznaczało jeszcze, że będzie chciała przyjąć zaproszenie od swego dawnego kochanka.

– Nie, odmowa nie byłaby w jej stylu – zamruczał Ōki pod nosem. Kobieta, o której teraz myślał, mogła się jednak bardzo zmienić od czasu, gdy widział ją po raz ostatni.

Podobno Otoko wynajmowała teraz razem ze swoją uczennicą pokoje gościnne przy jednej z buddyjskich świątyń. Ōki zobaczył kiedyś jej zdjęcie w czasopiśmie poświęconym sztuce i właściwie był to domek z rozległym salonem, który pełnił funkcję atelier. Znajdował się tam nawet piękny, stary ogród. Na fotografii Otoko trzymała w rękę pędzel i miała pochyloną głowę, ale Ōki bez trudu rozpoznał jej linię czoła i nosa. Mimo upływu lat wciąż była szczupłą. Zdjęcie, zanim jeszcze przywołało dawne wspomnienia, wzbudziło w Ōkim poczucie winy. Żałował, że odebrał tej kobiecie możliwość zostania żoną i matką. Tylko on mógł tak zareagować. Dla postronnego czytelnika była to po prostu fotografia artystki, która wyjechała do Kioto i stała się piękną w tradycyjnym stylu.

Ōki miał zamiar zadzwonić do Otoko, jeśli nie tego wieczoru, to nazajutrz, a może i złożyć jej wizytę. Rano jednak, kiedy wyrwały go ze snu krzyki dzieci, zawahał się. Siadł przy biurku z myślą, że może lepiej wysłać list ekspresowy, ale nie wiedział, od czego zacząć. Wpatrywał się w pustą kartkę z hotelowej papeterii, aż w końcu stwierdził, że nie musi się z Otoko

spotykać. Wystarczy, że sam pójdzie posłuchać bicia dzwonów.

Dzieci wyrwały go ze snu wcześniej rano, więc z chwilą, gdy obie rodziny obcokrajowców opuściły hotel, ponownie zasnął. Kiedy wstał, zbliżała się jedenasta. Powoli zaczął wiązać krawat. I wtedy przypomniała mu się Otoko mówiąca:

– Daj, ja zawiążę.

Były to słowa szesnastoletniej¹ dziewczyny, pierwsze wypowiedziane po tym, jak Ōki pozbawił ją dziewictwa. On sam cały czas milczał. Tulił ją do siebie i głaskał jej włosy, ale nie wiedział, co mógłby powiedzieć. Otoko wyslizgnęła się z jego ramion i jako pierwsza zaczęła się ubierać. Później obserwowała, jak on wstaje, zakłada koszulę i zaczyna wiązać krawat. Oczywiście miała wilgotne, ale nie zażawione, raczej błyszczące. Unikał jej wzroku. Także wcześniej, kiedy podczas pocałunków miała otwarte oczy, przymknął je swoimi ustami.

W jej głosie, kiedy proponowała, że zawiąże mu krawat, pobrzmiwała jakaś dziewczęca słodycz. Ōki odetchnął z ulgą, chociaż jej słowa mogły być nie tyle oznaką przebaczenia, co próbą ucieczki przed sobą samą. Otoko delikatnie dotknęła dłońmi jego krawata, ale wiązanie najwyraźniej jej nie szło.

– Wiesz, jak to się robi? – zapytał ją Ōki.

– Tak myślę. Widziałam, jak tata wiązał krawat.

¹ W tłumaczeniu zachowano wiek, jakim posługuje się Kawabata, który stosuje dawny system liczenia lat zwany *kazoedoshi*. W tym rachunku każdy człowiek rodził się, mając już jeden rok, a z nastaniem nowego roku (pierwszego dnia pierwszego miesiąca) doliczano mu kolejny. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

Jej ojciec zmarł, kiedy Otoko miała dwanaście lat.

Ōki usiadł na krześle, posadził dziewczynę na swoich kolanach twarzą do siebie i uniósł podbródek, żeby ułatwić jej wiązanie. Otoko odchyliła się i po kilku nieudanych próbach w końcu powiedziała:

– Jest, chłopcze. Udało się. Tak będzie dobrze, co?

Zsunęła się Ōkiem z kolan, dotknęła palcami jego prawego ramienia i przypatrywała się krawatowi. Ōki wstał i podszedł do lustra. Wiązanie było nienaganne. Potarł gwałtownie dłonią twarz, na której wyczuł oleisty pot. Nie mógł znieść swojego widoku po tym, co zrobił tej młodej dziewczynie. W lustrze dostrzegł, że zbliża się do niego. Jej świeżość i piękno go poraziły. Wydały mu się nierzeczywiste. Odwrócił się w stronę Otoko, a wtedy ona położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała:

– Kocham cię.

Potem przytuliła głowę do jego piersi.

Ōkiemu wydało się dziwne, że szesnastoletnia dziewczyna mówi do trzydziestoletniego mężczyzny „chłopcze”.

Od tamtej chwili minęły dwadzieścia cztery lata. Ōki był teraz pięćdziesięciopięcioletkiem. Otoko miała lat czterdzieści.

Ōki wziął kąpiel, a później włączył radio, w którym podawano, że w Kioto panuje lekki mróz. Ciepła jak na zimę aura miała utrzymać się także w czasie świąt. Po zjedzeniu tostu i wypiciu kawy Ōki zamówił taksówkę. Nie umiał zdecydować się na złożenie wizyty Otoko, więc udał się do Arashiyamy. Przez okno oglądał zimowy pejzaż Kioto, łagodnie zaokrąglone wzgórza, które ciągnęły się od Nishiyamy do Kitayamy,

to jaśniejąc w słońcu, to kryjąc się w cieniu. Słońce rzucało promienie tak blade, jak gdyby lada chwila miało schować się za horyzont. Ōki dojechał do Tōgetsukyō i wysiadł z samochodu. Nie zdecydował się jednak przejść na drugą stronę – skierował swoje kroki w górę rzeki do parku Kameyama.

Arashiyama, w której od wiosny do jesieni aż roiło się od turystów, trzydziestego grudnia była zupełnie opustoszała. Tak spokojnie musiała się prezentować w dawnych czasach. Głębia wody w dole miała barwę kryształowo zieloną. Z oddali niósł się odgłos drewnianych bali ładowanych w korycie rzeki z tratw na ciężarówki. Ta zwrócona ku rzece strona Arashiyamy, która była najczęściej podziwiana, teraz skryła się w cieniu. Pasma promieni przebijało jedynie w miejscu, gdzie zbocze schodziło ku górnemu biegowi rzeki.

Ōki chciał w spokoju zjeść posiłek. Znał tu w okolicy dwie restauracje. Jedna mieściła się w pobliżu mostu, ale jej brama była teraz zamknięta. Kto miałby odwiedzać w końcu roku to opustoszałe miejsce? Ōki szedł powoli, myśląc o tym, że zabytkowa restauracyjka w górze rzeki także jest pewnie nieczynna. Ostatecznie nie musiał przecież jeść w Arashiyamie. Kiedy piął się starymi kamiennymi schodkami, młoda dziewczyna zawróciła go, mówiąc, że wszyscy udali się do Kioto. Pamiętał, że kiedyś w porze kielkowania bambusa jadł tutaj krążki pędów bambusa w bulionie rybnym. Ile to mogło być lat temu? Wrócił na drogę i zobaczył staruszkę, która zmiatała zeschnięte liście z niskich kamiennych schodków wiodących do restauracji obok. Usłyszał od niej, że tam mają chyba otwarte. Przystanął na chwilę.

– Jak tu cicho... – stwierdził.

– Tak, słyhać, jak rozmawiają na drugim brzegu – powiedziała staruszka.

Restauracja, ukryta pośród drzew porastających górskie zbocze, miała dach pokryty zawilgotniałą, starą strzechą, a tonące w półmroku wejście, zasłonięte od przodu przez gęste kępy bambusów, nie wyglądało, jakby miało prowadzić do lokalu. Ponad strzechą wspaniale górowało kilka pni sosny czerwonej. Ōkiego zaprowadzono do sali, w której nie było żywego ducha. Za szklanymi drzwiami czerwieniły się drobne jagody aukuby. Jeden kwiat azalii zakwitł nie w swoim czasie. Krzewy aukuby, bambusy i sosny czerwone przesłaniały też widok rzeki. Jednak poprzez liście głęboką, czystą zielenią jadeitu przeblyskiwała woda, której bezruch współgrał ze spokojem Arashiyamy.

Ōki wsunął nogi pod kołdrę otulającą niski stolik ogrzewany od spodu, a łokcie wsparł na blacie. Słyszał śpiew jakiegoś ptaszka. Odgłos drewna ładowanego na ciężarówkę niósł się doliną rzeki. Gdzieś u stóp wzniesienia zagwizdał pociąg w tunelu, a jego gwizd rozchodził się po górach tęsknym brzmieniem. Ōki przypomniał sobie cichuteńki płacz noworodka. Siedemnastoletnia Otoko w ósmym miesiącu ciąży urodziła jego dziecko – dziewczynkę. Dziecka nie udało się uratować, a Otoko nie zdążyła go nawet zobaczyć. Lekarz stwierdził, że lepiej powiedzieć jej o wszystkim, kiedy już się trochę uspokoi.

– Proszę, niech pan jej to przekaże – poprosiła Ōkiego matka Otoko. – Ja nie zdołam powstrzymać łez. Przecież to jeszcze dziecko, a już, biedaczka, sama musiała przez to przejść.

W czasie porodu matka Otoko powstrzymywała złość i żal, jakie żywiła względem Ōkiego. Może nie miała już siły więcej go oskarżać i nienawidzić. Wprawdzie miał żonę i dziecko, ale córka, którą ona samotnie wychowywała, nosiła przecież jego potomka. To ją musiało złamać, a była z natury bardziej nieugięta niż Otoko. Kwestię utrzymywanego w tajemnicy porodu i dalsze losy dziecka zawierzyła więc Ōkiemu. Na dodatek Otoko, w ciąży skłonna do gwałtownych wzruszeń, zagroziła, że odbierze sobie życie, jeśli matka będzie źle mówiła o jej ukochanym.

Gdy Ōki wrócił do sali, Otoko spojrzała na niego łagodnie przejrzystymi, zdumionymi oczami kobiety, która przed chwilą urodziła. Nagle w kącikach tych oczu wezbrały łzy i potoczyły się na poduszkę. Musiała coś przeczuwać. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach niepohamowanym strumieniem. Jedna ich struga zbliżała się do ucha, więc Ōki pospiesznie ją wytarł. Wtedy Otoko chwyciła go za rękę i zaczęła szlochać, jak gdyby pękła w niej jakaś wewnętrzna tama.

– Dziecko umarło, prawda? Nie żyje... Nie żyje!

Wiła się z bólu, krzycząc, a Ōkiemu wydawało się, że za chwilę zacznie krwawić, więc przytrzymał ją mocno w uścisku. Czuł na swoim ramieniu dotyk jej piersi – drobnych, ale nabrzmiiałych mlekiem. Matka Otoko właśnie weszła. Może czekała przy drzwiach na jakiś znak.

– Otoko, córeczko! – zawołała.

Nie zważając na nic, Ōki wciąż trzymał Otoko w uścisku.

– Puść, nie mogę oddychać – usłyszał.

– Będziesz leżała spokojnie? Nie będziesz się ruszać?

– Będę leżała spokojnie.

Ōki rozluźnił uścisk i Otoko odetchnęła głębiej, unosząc ramiona. Łzy ponownie zaczęły się toczyć spod jej powiek.

– Mamo, będziesz je kremować?

Nie było odpowiedzi.

– Takie maleńkie dziecko?

Kobieta wciąż milczała.

– Mówiłaś, mamo, że kiedy się urodziłam, miałam kruczoczarne włosy, prawda?

– Tak, kruczoczarne.

– Czy moje dziecko też miało czarne włosy? Odetniesz dla mnie kosmyk?

– Sama nie wiem, Otoko... – Matka się zawahała. – Urodzisz jeszcze inne – powiedziała szybko i rozgorączkiona zaraz odwróciła twarz, jak gdyby pożałowała własnych słów.

Czy jednak nie pragnęła, podobnie jak Ōki, by to dziecko nigdy nie ujrzało światła dnia? Otoko rodziła w obskurnej lecznicy na obrzeżach Tokio. Na myśl, że gdyby dziecko przyszło na świat w dobrej klinice, mogłoby zostać uratowane, Ōki odczuwał przeszywający piersi ból. Do szpitala przywiózł Otoko sam. Jej matka nie zdobyła się na to, by im towarzyszyć. Przyjął ich starszy lekarz o twarzy poczerwieniałej od alkoholu. Młoda pielęgniarka patrzyła na Ōkiego z wyrzutem. Otoko miała na sobie kimono z taniego jedwabiu rdzawej barwy, z zakładkami typowymi dla strojów dziecięcych.

Obraz noworodka z czarnymi włosami, który urodził się przedwcześnie, wrócił do Ōkiego w Arashiyamie po dwudziestu trzech latach, jak gdyby

skrywał się gdzieś w gęstwinie zimowych drzew albo w zielonej głębinie rzeki. Ōki przywołał kelnerkę kłaśnięciem w dłonie. Nie było gości, więc zdawał sobie sprawę, że przygotowanie posiłku musi potrwać. Kelnerka pojawiła się z gorącą herbatą i zaczęła zabawiać go rozmową. Opowiedziała mu o mężczyźnie, na którego jenot rzucił urok. Tego człowieka znaleziono, gdy brodził w rzece i wołał: „Ratunku! Ratujcie mnie od śmierci!”. Potykał się na płyciźnie pod mostem Tōgetsukyō i z łatwością mógłby wydostać się na brzeg. Kiedy go wyciągnięto, powiedział, że od godziny dziesiątej poprzedniego wieczora błąkał się jak lunatyk po górach, aż w końcu, nie wiedząc jak, wylądował w rzece. W końcu kobietę zawołano do kuchni. Jako pierwsze pojawiło się danie z pokrojonego na plasterki surowego karpia, do którego Ōki saczył sake.

Kiedy wyszedł z restauracji, spojrział ponownie na pokryty strzechą dach, rozpadający się i omszały. Pomyślał, że kryje się w nim czar przeszłości, ale właścicielka lokalu wyjaśniła, że dach położono nie więcej niż dziesięć lat wcześniej.

– Pod tymi drzewami nie ma jak wyschnąć – powiedziała. – Wystarczyło kilka lat, żeby wyglądał, jak wygłada.

Ponad dachem, na lewo, rysował się biały półksiężyc. Była trzecia trzydzieści. Ōki zszedł na drogę wiodącą wzdłuż rzeki i patrzył, jak zimorodki ślizgają się po powierzchni wody. Widać było doskonale barwy ich skrzydeł.

W pobliżu mostu Tōgetsukyō wsiadł do samochodu z zamiarem udania się do Adashino. Sądził, że posąжки

Jizō² przywołujące pamięć o tych, o których świat zapomniał, i kamienne pagody w zimowym zmierzchu pozwolą mu kontemplować przemijalność świata. Jednak na widok mroku spowijającego bambusowy lasek przy świątyni Giōji zawrócił kierowcę. W drodze do hotelu wstąpili jeszcze do świątyni Kokedera. W ogrodzie widać było tylko jedną parę wyglądającą na nowożeńców. Na mchu leżały rozsypane suche igły, a odbijające się w stawie drzewa poruszały się z każdym krokiem Ōkiego. Gdy jechali do hotelu, wzgórze Higashiyamy żarzyły się pomarańczowym światłem zachodzącego słońca.

Po wyjściu z rozgrzewającej kąpieli Ōki znalazł w książce telefonicznej numer Otoko Ueno. W słuchawce usłyszał młody kobiecy głos, należący pewnie do uczennicy, która szybko przekazała telefon Otoko.

– Halo.

– Tu Ōki. Toshio Ōki.

– Tak... Dawno się nie słyszeliśmy. – W głosie Otoko lekko pobrzmiwał akcent z Kioto.

Ōki nie wiedział, od czego zacząć. Chcąc uniknąć skrępowania, powiedział pospiesznie, jak gdyby dzwonił pod wpływem chwili:

– Przyjechałem do Kioto posłuchać, jak biją dzwony w wigilię Nowego Roku.

– Dzwony?

– Może posłuchałabyś ich ze mną?

Odpowiedziała mu cisza. Ōki ponowił pytanie, ale Otoko nadal milczała. Musiała być zaskoczona.

– Halo? Jesteś tam? – zapytał Ōki.

² Kamienne posążki bodhisattwy Jizō, który miał pomagać zmarłym dzieciom, upamiętniają ich odejście.

- Przyjechałeś sam.
- Tak, przyjechałem sam.

Otoko nic nie odpowiedziała.

- Rankiem w Nowy Rok wracam do siebie. Przyjechałem, bo chciałem z tobą posłuchać, jak biją dzwony. Mam już swoje lata, wiesz... Jak długo się nie widzieliśmy? To było tak dawno, że bez powodu trudno byłoby mi prosić cię o spotkanie.

Otoko wciąż milczała.

- Może przyjdę jutro po ciebie?

- Nie - odpowiedziała pospiesznie. - Ja przyjdę. O ósmej... Nie, to za wcześnie. Może po dziewiątej, dobrze? Przyjdę do hotelu. Zarezerwuję nam gdzieś miejsce.

Ōki miał nadzieję, że wcześniej zjedzą razem posiłek, ale dziewiąta oznaczała, że będą już po kolacji. Mimo wszystko ucieszył się, że Otoko przyjęła jego zaproszenie. Zobaczył ją we wspomnieniach jak żywą.

Następny dzień spędził od rana do wieczora sam w pokoju hotelowym. Czas mu się dłużył, tym bardziej że był to ostatni dzień roku. Ōki nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Miał wprowadzić znajomych w Kioto, ale była wigilia Nowego Roku, a wieczorem chciał się zobaczyć z Otoko, więc stracił ochotę na inne spotkania. Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek dowiedział się o jego przyjeździe. Chociaż znał restauracje, gdzie podawano lokalne specjały, zjadł skromną kolację w hotelu. Tym sposobem miał cały dzień na wspomnianie Otoko. Te same obrazy z przeszłości napływały do niego raz po raz, nabierając coraz to żywszych barw. Wydarzenia sprzed ponad dwudziestu lat stały się nagle bardziej wyraziste niż to, co spotkało go poprzedniego dnia.

Ōki był oddalony od okna, więc nie widział ulicy, a jedynie dachy domów na tle Nishiyamy. W odróżnieniu od Tokio Kioto było małym, przyjaznym miastem. Wydawało się, że nawet zachodnie wzgórza są na wyciągnięcie ręki. Płynące ponad nimi półprzezroczyste, złotawe chmury na oczach Ōkiego stawały się chłodnopopielate. Nastawał wieczór.

Czym są wspomnienia? Czym jest przeszłość, która jawi się tak wyraźnie? Kiedy Otoko wyprowadziła się z matką do Kioto, Oki był pewien, że się rozstali. Czy rzeczywiście tak było? Wciąż odczuwał ból na myśl, jak bardzo zagmatwał jej życie, być może uniemożliwiając zostanie żoną i matką. A co ona, wciąż niezamężna, przez te wszystkie lata myślała o nim? Otoko, którą pamiętał, była porywczą jak nikt inny. Czy to, że jej wspomnienie pozostawało w nim tak żywe, nie oznaczało, że tak naprawdę nigdy się z nią nie rozstał? Wprawdzie Ōki pochodził z Tokio, ale to oświetlone po zmierzchu Kioto wydało mu się teraz dziwnie znajome i bliskie. Nie umiał sobie znaleźć miejsca. Wziął kąpiel, założył świeże ubranie i w oczekiwaniu na Otoko krążył po pokoju, co jakiś czas spoglądając na siebie w lustrze.

Dwadzieścia po dziewiątej zadzwonił telefon. Z hotelowego lobby poinformowano go, że przyszła do niego pani Ueno.

– Już schodzę. Proszę jej przekazać, żeby na mnie poczekała – powiedział Ōki i zaraz pomyślał, że może powinien był ją zaprosić do pokoju.

W przestronnym lobby nie dostrzegł jednak nigdzie Otoko. Podeszła natomiast do niego młoda dziewczyna.

Uznany pisarz Ōki pragnie spotkać się ze swoją dawną dziewczyną, którą przeszło dwadzieścia lat temu rozkochał w sobie i porzucił w tragicznych okolicznościach. Burzliwa historia ich miłości, młodego mężczyzny i nastolatki, stała się inspiracją do napisania jego najśłynniejszej powieści. Otoko otrząsnęła się z rozpacz. Po wielu latach została rozpoznawalną malarką. Mieszka teraz ze swoją młodziutką uczennicą Keiko przy świątyni w Kioto, w historycznej i duchowej stolicy Japonii. Nigdy nie zapomniała o Ōki, ale jego zaskakujący powrót niepokoi ją oraz jej protegowaną, która chce pomścić dawną krzywdę ukochanej mentorki.

Yasunari Kawabata w poruszającej powieści „Piękno i smutek” ukazuje, że piękno może być ulotne, a smutek nierzadko towarzyszy nawet najjaśniejszym chwilom, oba współistnieją i przenikają się nawzajem.

Proza Yasunariego Kawabaty (1899–1972), oszczędna i elegancka, w której autor utrwalił pejzaż, kulturę i ducha swojej dawnej Japonii, spotkała się ze światowym uznaniem. W 1968 roku Kawabata, jako pierwszy Japończyk, otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, a jego utwory zostały przetłumaczone na wiele języków. Wkrótce ukaze się w odświeżonym i poprawionym przekładzie powieść „Kraina śniegu”.

RÓWNIEŻ JAKO
E-BOOK

www.czytelnik.pl

ISBN 978-83-07-03578-9



9 788307 035789

